

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty.

No. 38.

Leszno,
dnia 21. Marca 1840.



Flisy pod Gdańskiem.

Flis. (*)

Zawsze szcudrość pańska z nami;
Ta obdarza nas pszenicą,
Wyślemy ją galarami,
Żywić głodnych za granicą.

Ramiński.

Kiedy w pogodny letni wieczór mnóstwo

(*) Wyjęto z „Pierwiosnka“, Noworocznika na rok 1840, złożonego z pism samych dam, zebranego przez Paulinę R.... W Warszawie, w drukarni Max. Chmielewskiego.

powozów dąży nowym światem ku Łazienkom lub Wilanowu, ujrzyś nie raz, jak nieliczne grono, z kobiet i mężczyzn złożone, zwraca się na topolową ulicę, prowadzącą do Wisły, a potem chodząc po kamienniej tamie, lub na darniowym wale siedząc, zachwyca się cudnym widokiem, roztoczonym przed nim. Lubią oni zapewne patrzeć na gmachy Warszawy, których dachy, wieże, kopuły, nikną w obłokach, albo raczej w tumanach kurzu, unoszącego się nad nimi, jakby gęsta, dusząca zasłona. Lubią poglądać na liczne ogrody, po których miasto

zdaje się ku Wiśle zstępować; na te drobne ubogie chatki, tak często zalewane przez swawolną rzekę, a jednakże z tak niepojętym zaufaniem powstające coraz to bliżej brzegu; nakoniec na ową szeroką białą przestrzeń wody, za którą, jakby ciesząc się z przegrody dzielącej ją od miasta, natura wdzięki swoje rozlaczka swobodnie. — Pasma żółtego piasku i łąk zielonych, czerwone dachy wystające z pośrodku ogrodów, białe ściany domków kryjących się zalotnie wśród zarośli Saskiej kępy, tu i ówdzie migająca się za drzewami łąka, a w końcu czarne pasmo lasów zamykające obraz; wszystko to zajmuje i bawi oko, ożywia wyobraźnię i miłym pokojem duszę napędza.

Pewnego wieczora podobne towarzystwo stało na tamie. Wisła, zwykłe tak poważna i zajmująca, żywszy jeszcze przedstawiała widok. Cały jej brzeg lewy pokrywały liczne statki, napełnione cynkiem, żelazem, zbożem, przeznaczonem w części do Warszawy, w części do Gdańska. Na tym brzegu, tak nieraz cichym i spokojnym, dziwny ruch panował; za pomocą windy kilku ludzi wyciągało ze statków ogromne paki cynku; Żydzi dźwigali na ramionach ciężkie wory pszenicy, którą niemieccy robotnicy ładowali sztuczny wóz stojący na żelaznej kolei; ubogie kobiety i dzieci wytrząsały starannie słomiane maty, chcąc się pozostałym pożywić ziarnem, a flisowie spoczywali na wypróżnionych galarach, przyrzadzali sobie wieszercę, lub gwarząc wesoło, żartowali z brodatych dzieci Izraela.

Jeden z większych galarów, przywiązany liną do żelaznego pierścienia, tkwiącego w ścianie granitowej tamy, stał tak blisko brzegu, że można było łatwo widzieć i słyszeć, co się na nim działo. W jednym rogu, wsparty na pęku słomy, spoczywał flis już nie młody, lecz czerstwy, okazałej postawy; twarz wesoła, rumiana, czarne żywe oczy, i nasunięta na lewe ucho czerwona magierka, znamionowały prawdziwego Krakowiaka, a czysta bielizna, biała jak śnieg sukmana, pas świecący od kółeczek, i uszanowanie, z jakim rozochoceni flisowie nawet wśród gonitw i skoków omijali ten galar, dowodziło, że miał u nich niepospolite znaczenie.

W drugim końcu, przed niskim z piasku usypanem ogniskiem, dwunastoletni może chłopczyna obierał przeznaczone na wieszercę kartofle; nieraz zapewne patrzył, jak porządna gospodyni podobną czynność odbywała, bo najdrobniejsze czarne plamki starannie wykrawał i co chwila obmywał sobie ręce.

Starszy patrzył na niego z uśmiechem.

„Oj bratku“, rzekł po chwili, „straszniesz coś wymyślny; nie jeden z nas wolałby kartofle jeść z łupiną, niż tyle nad ich skrobaniem marudzić. — Znać, żeś fryc, kochanku.....

albo możeś widział, jak tam na berlince Niemki przyrządzają jedzenie?“

„Jużciś mój panie Marcinie“, odpowiedział chłopczyna, „że oni tam lepij i porządniej żyją, niż my tutaj, to wielka prawda.“

„Prawda, czy nie, nie radzę ci tam często zaglądać, bo te Niemcy!... a Niemki!...“

„I dla czegoż tak Niemek nie lubisz, Marcinie?“ spytała młoda kobieta z grona przechodzących; nie raz bowiem w ustach prostego ludu spotkała wyrazy niechęci przeciw cudzoziemcom i pragnęła się przekonać, czy niechęć ta ma jakie sprawiedliwe źródło, czy tylko jedni od drugich ją przejmują, sami nie wiedząc dla czego.

Flis spojrział w górę, a poznając osoby, z którymi od tygodnia prawie co dzień rozmawiał, uchylił czapki i rzekł:

„Dla czego ich nie lubię?... oj, moja Jejmość, wiem ci ja to dobrze.“

„A mybyśmy się o tém dowiedzieć nie mogli?“

„Czemu nie! tylko to długa rzecz, gdybyście chciały wszystko opowiadać.“

„Nic nie szkodzi, przyjacielu, usiądziemy tu na brzegu, i jeżeli nam zechcesz uprzyjemnić wieczór, posłuchamy z wdzięcznością.“

„To i dobrze! nie mam też na dziś nic innego do roboty.“

Mówiąc to, Marcin wszedł na tamę po lichęj kładce, o galar opartęj, a skoro ciekawe towarzystwo zajęło długą sosnową kłodę, leżącą pod wałem, zasiadł na pace cynku, wsparł się łokciem na drugiej, dobył krzesiwa z kalletki zawieszonęj u pasa, i zapaliwszy fajkę, tak mówić zaczął:

„Najprzód trzeba wiedzieć, że to będzie moja własna historia, a powiem z niej tylko to, z czego się państwo przekonacie, czy mam za co lubić niemiecki naród. Ale czy jeno Jejmość nie Niemka?“ dodał, obracając się do jednej z słuchaczek, na której ustach igrał mimowolny uśmiech, „bo oni się już tak po naszymu mówić nauczyli, że ich i poznać ciężko.“

Na uroczyste zapewnienie, że w całym towarzystwie Niemca, ani Niemki nie było, mówił dalej:

„O dwie mile od Krakowa, nad samą Wisłą, leży wioska Bukowiec; w téj wiosce od niepamiętnych czasów mieszkał mój ojciec, dziad, pradziad, prapradziad może! ja i moje dzieci tam się porodziły, i... może się to Państwu dziwaczne wyda, ale w naszej rodzinie z ojca na syna przechodzi imię i nazwisko, zawsze najpierwszy chłopak chrzcony jest Marcinem, bo powiadają, żeby Wiśle tęskno było, gdyby kiedy Marcin Skorylas po jej wodzie zeglować przestał.“

„Słyszałem często od braci flisaków, że kiedy pierwszy raz odbijają od brzegu, to im tę-

skno, smutno na sercu, i radziły wrócić do domu; ja tego nie pamiętam, bo jeszcze był ot tylko chłopaczkiem, kiedy po śmierci ojca wziął mnie dziadek do Gdańska. Nie tak to wtenczas pływali jak teraz..... Co mi tam za wesele, wlec się na ciężkim niezgrabnym galarze, i wlec się jeszcze z nie swoim towarem! inaczej wtedy bywało!... płynąłeś sobie sztuką lub półszkutkiem, co z wiatrem leciał, gdyby koń rozpędzony, rufa śmiało w dwa zagony rozbijała wodę, a ona niby w złości wracała z szumem na burty, pluskała po pojazdach, i jeszcze daleko za statkiem pieniała się, że go dognać nie może.“

„Dopieroż jak wiatr dmuchnął w rozpostarte żagle, jak flagą zawarczała!... jeszcze się człeku serce raduje. A cóż to za uciecha, jak się do Gdańska zawinęło! bo tam nie same Niemcy mieszkają; nieraz przybija do portu chudy wysoki Anglik, lub tłusty czerwony Holender, czasem i zwinnego Francuza zobaczysz, czasem Turka w zawoju; wszystko to się kręci i zaleca do polskiej pszenicy, a flis, siedząc sobie na malenkim statku, patrzy, pokręcając węża, jak ci panowie ogromnych okrętów łakomie przeglądają i wachają nasze ziano.“

„Ale teraz nie tak! rzadko który z nas na swoją rękę handluje, nasypia ci na galar zboża pod miarą i wieź je do Warszawy, albo do Gdańska; jak zsympiesz w spichlerze i pieniądze odbierzesz, to nie wiesz po czemu się przedało, kto zbył, kto kupił, nikt ci i czapki nie uchyli... ha! i cóż robić?“

„Otóż dobrodzieństwo; byłem jeszcze młodym chłopcem, kiedy mnie na Wiśle już nie frycem znali; puszczałem się to z dziadkiem, to sam na jego szkucie, płacił mi staruszek lepiej jak najemnym flisom i w dwudziestym roku jużem sobie nie mało grosza uzbierał.“

„Jednego razu trzeba było płynąć do Gdańska, ale że nie ze swoim zbożem, nie chciało się dziadkowi wyruszyć z domu; dał mi więc statek, komendę nad chłopakami, i ruszyłem sobie wesoło, bo za mną, jako za doświadczonym, sunęło się z okolicy kilkanaście półszkutków, trawek, galarów, a na wszystkich znajome zuchy. Minęliśmy Sandomierz, Kazimierz i inne nadbrzeżne miasta, lato było suche, wody mało, ale że za kilka dni miał nadejść Święty Jakób, i jak się z flisowskich prognostyków zdawało, gracka Jakóbowka, stanęliśmy sobie pod Warszawą.“

„Nie było jeszcze wtedy tego, jak tam zowiecie, bulwarku, ani topolowej drogi, ani fabryk, ani młyna, tylko, właśnie jak teraz, tam trochę opodal brzegu stało kilka berlinek. Widziałem już takich mało pięćdziesiąt, ale dopiero stojąc w przystani i nie mając co robić, zacząłem im się przypatrywać tak ot, jak ten frycek. W jednej osoblwie, co stała tuż przy

mnie, podobały mi się małe okienka z firankami, świecące naczynia, które szyprowa codzień starannie czyściła, kwiatki w doniczkach stojące przeddrzwiami, a nadewszystko ładna dziewczyna, co je polewała wieczorem.“

„Widziałem wszystko, co się w izdebce działo, i zdało mi się, że te Niemcy jak panowie żyją; — dziwna rzecz, jak to tu wszystko czysto i porządnie, choć tak ciasno! piękniej daleko, niż u nas w chacie!...“

„Z całego Bukowca, myślałem sobie, najpiękniejszą i najporządniejszą dziewczyną jest Marysia; ale choć to koło niej niby schludnie, jednakże ta Niemeczka, stojąc przy swoim żelaznym piecyku, w cieniutkim fartuszu, w koszuli z mankietami i świecącą łyżką błyszczącą szumując garnki, wyglądała przy niej, gdyby grafini. Prawda, nie bardzo mi się podobiała czarna, okrągła mycka, co jej zakrywała włosy; Marysi kosa, zapleciona wstęgami, ładniejszą była daleko, tylkoż... jak wiatr rozwieje warkocze, albo gdy przy robocie nie ma ich kiedy utrefić, to możeby i lepiej, gdyby taką niemiecką czapeczkę nosiła.“

„Pókim widział rumiane jagody Marysi, póki przedemną jej czarne oczy błyszczały, zdawało mi się, że nie ma piękniejszej na ziemi, i jużem dziadkowi mówił o ożenieniu, jużem się z nim sprzeczał, kiedy mi zaczął przekładać, że ona sierota, u obcych żyje, że za nią i złotych nie dostanę.... ale ta Niemka... moi państwo, to wcale co innego; biała jak mleko, znać na słońcu nie bywała, niebieskie miała oczy i poglądała na mnie tak mile, uśmiechała się tak wdzięcznie, że mi mało serce z piersi nie wyskoczyło.“

„Przeszło tak ze trzy dni, omyliły nas przepowiednie; wody jak nie było, tak nie było, musieliśmy czekać.“

„Czwartego wieczora, jam sobie siedział na statku, moja Niemka stała na samym brzegu berlinki, i białym, gdyby śnieg, grzebieniem, cesała piasa czarnego jak sadze; aż tu nagle zwierzątko wyrwało się z rąk pani i plusk... wpadło w wodę, tuż przy mnie. — *Ach! Herr Je!*... krzyknęła dziewczyna załamując ręce; ja też, nie wiele myśląc, skoczyłem w znajomą Wisłę unoszącą czarne niewdzięczne stworzenie, i wyciągnąłem je szczęśliwie.“

„Na krzyk młodej Niemki, rodzice jej wybiegli z izdebki, a widząc jak się próżno siliłem, aby jej podać piasa z brzegu niskiej szkuty, spuścili małą drabinkę i zaprosili do siebie.“

„Nie spodziewałem się nigdy takiego szczęścia; w radości jednym susem stanąłem na berlince, otrząsałem się z wody i skłoniłem się wszystkim magierką.“

„Stary niemiec wskazał mi ręką krótką belkę, leżącą na pokładzie; miało to pewno znaczyć, żeby na niej usiąść; nie dałem się dłu-

go prosić, bo przedemną tuż przy drzwiach stała Lotka szyprowna, głaszcząca swojego pieska i patrząca na mnie ukradkiem. Z troskliwości o córkę, szyprowie porzucili byli wieczerzę; żeby im więc do reszty nie ostygła, wrócili do niej spokojnie, nie troszcząc się o milczącego gościa; ale kiedy Niemiec podjadł, przypomniał sobie o mnie, i nie odwracając głowy od cynowej misy, zapytał:

„A gdzie jedziecie, kamerad?“

„Do Gdańska!“

„Na czym statku?“

„Na moim własnym,“ — odpowiedziałem śmiało; boć wszystko jedno było, czy mój, czy dziadka.

„Stary poprawił szlafmocy; jego żona zdjęła z półki czysty talerz, i stawiając go przy sobie na stoliku, rzekła:

„Może jeszcze nie po wieczerzy? to prosimy...“

Nie wypadało odmówić; usiadłem przy nich i nabrałem sobie kartofli, bo mi się zdawało, że w masle pływały; gdzie tam! ani to było słone, ani krasne, tylko jakimś dymnym sosem podlane. Na flisówce to człek i nie wybredny, ale tego żadną miarą połknąć nie mogłem; fraszka, myślałem sobie: fraszka cyna i miedź świecąca, wolę ja smaczne jedzenie, choć w glinianej misie. — Położyłem łyżkę, Niemcy nie namawiali mnie dłużej, a ja widząc, że Lotka, sprzątnąwszy resztki wieczerzy, poszła na drugą stronę berlinki, że staruszka zaczyna kotary od łóżka odsuwać, pożegnałem moich nowych znajomych.

„Odtąd widywaliśmy się po kilka razy na dzień; Lotka, czy to robiąc pończochę, czy obierając kartofle, uśmiechała się do mnie; jam dla niej czerpał wodę do polewania kwiatków; nie raz nawet zaczynałem z nią rozmawiać, ale to nie długo trwało, bośmy się jakoś porozumieć nie mogli.“

„Jednak, na koniec końców, tak mię Niemka zczarowała, że kiedyśmy w tydzień po świętym Jakóbie od brzegu odbili, jużem ani pomyślał o Marysi.“

„W drodze berlinka Gotliba szła tuż przy mojej szkucie; dziewczyna mało nie cały dzień przesiadła na pokładzie, pieściła swego pieska i mawiała niby do niego, że bardzo lubi czarne oczy i włosy. Zadne jej słowo nie przeszło mi mimo ucha, i tuszyłem sobie, że moje oczy jeszcze czarniejsze, niż u szczęśliwego psiny, jeszcze się więcej Lotce podobać powinny.“

„Płyn sobie jak chcesz, szkuto dziadkowa! już tylko chłopaki tobą kierują; a ja ciągle siedzę przy boku berlinki, krzeszę Gotlibowi ognia do fajki, trę cegłę dla jego żony i przypochlebiam się jak mogę, bom sobie ułożył, że jak w Gdańsku staniemy, to się o szyprową oświadcę. Co tam, że dobrze po polsku

nie umie! nie będzie się ze mną sprzeczała. Taka żona najlepsza, której gniewu i przyczynków nie zrozumiesz; a na dobroci to się i bez słów poznać można!“

„Dopłynęliśmy do Torunia; pod miastem u brzegu Wisły, jak dawniej tak i teraz, ciągnie się cała processya młynów; wiedziałem nie dopiero, jak koło nich niebezpieczno, i starałem się zawsze w tém miejscu do środka rzeki nawracać; ale tą razą statek Gotliba zastępował mi drogę, Lotka obrywała listki z doniczek i puszczała je z wiatrem, a ja, gdyby bez rozumu, biegałem za niemi z jednego końca szkuty na drugi.“

„Hola! ho! zagrzmiało za mną od razu kilkanaście głosów; młyny! na prawo! krzyknęły flisy, ale za późno; mój statek, co miał wszystkim rotmanić, wpadł na słupy pierwszego młyna i zabrał go z sobą.“

„Ach Gott! Ach Herr Je!... O weh! wołał młynarz z żoną i dziećmi, płynąc pomiędzy nami, aż póki mu Gotlib po niemiecku nie wyperswadował, że to szkoda nie wielka, że moi towarzysze odprowadzą młyn do brzegu. Niemiec dał się niby udobruchać; ale jakeśmy ową nieszczęsną szopę do nowych słupów przywiązali, uchwycił mię za guzik od sukmany, i za swój przestrah i stratę czasu zażądał dzie więć talarów.“

„Aż się za głowę ująłem dobrodziejstwo! dalej w targi z młynarzem; Gotlib wdał się także do sprawy, bo to był brat jego rodzony, i po długich naradach stanęło na tém, że miał dać pięć talarów, ale zaraz, a nie, to do turmu! — Cóż tu robić? u mnie ni dziesięciu złotych w kalecie nie było, bo dopiero w Gdańsku miałem pieniądze odebrać. Drapię się to po jednym, to po drugim uchu, ani wiem, jak sobie poradzić! ale Lotka, patrząc na mnie z daleka, szepnęła coś matce do ucha, a szyprowa wzięła wypłatę na siebie, byłem ję tylko skrypt na pięć talarów wystawił.“

„Nie tak już wesoło jak z początku, że głowałem dalej; — otóż masz zaloty! myślałem sobie: dość już tego, trzeba się przecież raz ustatkować; — żebym był miał żonę, to bym nie gonił za żółtkami liśmi, tylko statku pilnował; — więc się ożenię, ale z kim? ha! jużci z Lotką; ona sama ładna, rodzice bogaci i uprzejmi, czegoż mi więcej potrzeba? i dalej znowu przymilać się dziewczynie, aż póki statki nie zawinęły do portu.“

„Gotlibowie mieszkali o pół mili od Gdańska; skorom więc złożył zboże, gdzie należało, i odebrał zaległe dziadkowi pieniądze, pobiegłem oddać dług pani szyprowej. Aż mię oczy zabolaly, gdy wszedł do ich domu; co za bogactwo, haftowane franki u okien, orzechowe stoły i komody, a podłoga! bałem się progu przestąpić, żeby na niej podkówkami śladu nie wycisnąć.“

„Szafy pełne były miedzi i białizny, szklanek, filiżanek co nie miara, krów kilka, owiec, kaczek bez liku; za domem wielki ogród, za ogrodem większe jeszcze grunta; to wszystko kiedyś Lotce się dostanie, bo Gotlibowie więcej dzieci nie mają.“

„Czegóż się było ociągać? tego samego wieczora powiedziałem staremu, że chcę zostać jego zięciem; a on, naradziwszy się z żoną i córką, chętnie na to przystał.“

„Przychodziłem zatem do nich po dwa razy na dzień.“

„Drzesz obuwie, Marcinie, przychodząc z tak daleka, powiedział mi Gotlib w tydzień po oświadczeniach; — wydajesz pieniądze płacąc drogo w gospodzie, lepiejby u nas pozostać; będziesz spiał na górze, darmo, a za stół, to ci moja żona sumiennie porachuje.“

„Zostałem tedy; kuchnia Gotlibowej była czysta, ale chuda; jednakże oczy Lotki krasily i pomnażały mi jedzenie. Nalegałem, żeby jeszcze przed moim odjazdem odbyć zaślubiny, ale mi powiedziano, że Lotki wyprawa jeszcze nie gotowa, że na jej wesele trzeba z daleka zaprosić starego stryja, po którym miała odziedziczyć majątek, słowem, że dopiero za rok, jak Bóg da doczekać, powiozę żonę do domu.“

„Zacząłem się wybierać do Bukowca, aż tu przyszedł mój teść prosi, żeby mu pomódz doznać jęczmienia, co się opóźnił na polu; jakże tu odmówić, kiedy i Lotka, ściskając mnie za rękę, do zostania namawia.“

„Skończyły się żniwa, ja znowu do pożegnania.“

„*Bleib Martinchen!* rzekła Lotka, głaszcząc moje włosy.“

„*Bleib lieber Sohn!* przemówił Gotlib; wykopiemy razem kartofle.“

„Pomyślałem chwilę, potem odprawiłem skutę do domu pod komendą dalekiego krewniaka, co zemną przyplynał, i kazałem dziadkowi powiedzieć, że się do ładnej, bogatej Niemki zalecam.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Poezya polska w 15^{ty}m i 16^{ty}m wieku, przez W. A. Maciejowskiego. (*)

Poezya polska, nosząc na sobie pierwotny swój sławiańsko-narodowy charakter, odznaczała

(*) Z dzieła znajdującego się w rękopismie pod napisem: *Dzieje naukowego i domowego życia Sławian w 15^{ty}m i 16^{ty}m wieku*. Dla krótkości nie wypisano całkowitych tytułów pism, które za źródła posłużyły do niniejszego artykułu, ponieważ takowe rozbiórą się w samym dziele. Własnymi wyrazami pomników oddana jest rzecz cała, układ jej tylko i wystawienie zrobił Szanowny Autor podług pomysłu swojego. Przyp. Red.

się w 16^{ty}m wieku osobnemi, sobie właściwemi, znamionami; rozszerzywszy się znacznie, ale nie odstrzeliwszy daleko od ogniska, w którym się pierwotnie skupiły jej promienie. Była liryczno-opisową, utkaną z historycznego i satyrycznego wątku. W hymnach i elegii do najwyższej, na jaką się wiek ten mógł zdobyć, wzniosłszy się ona doskonałości, krążyła około narodowych pamiątek, tak, iż narodowość głównym była przedmiotem, który ówczesni poeci nasi najwięcej opisywali. Nie czczą więc zabawką, lecz odgłosem narodowych uczuć, będąc już wtedy poezya polska, stała się głównym tłumaczem moralnego usposobienia narodu, w takiej zawsze pokazując się postaci, w jakiej się ukazywało i narodowe życie.

Religijne li uczuciem oddychając naprzód liryczna poezya polska, pobratała się wkrótce z moralną, czyli obyczajową, przybraną w szatę satyry i apologu, a pożyczwszy jej świetnego swego stroju; byłaby mogła okazałym przyrodzić blaskiem światowe nasze pienia, gdyby już wówczas polscy poeci umieli byli narodowe, gminne i historyczne pieśni, z poziomu sielskich uczuć, wynieść na szczyt liryki wieszczkiej, podnieść je mocą sztuki i wyższem natchnąć życiem, i gdyby oraz byli potrafili układać ich watek, podług ducha i humoru (skłonności umysłowej) narodowego. Ale mali w zewnętrznej i wewnętrznej poezyi, czyli nieoryginalni w myślach i składzie wiersza, nie byli jeszcze w stanie samodzielnie tworzyć. Umieli tylko naśladować, i jakkolwiek na język polski obce przenosić wzory, czując ich piękność, a jednakże jej niemogąc oddać w ojczytym mowie. Wprawdzie polskie wiersze Jana Kochanowskiego, a Reja moralne rymy, tudzież Klonowicza o obyczajności pienia, świadczą o tem, że ci wierszopisowie czuli dobrze, jak należy dla Polaków pisać, że usiłowali bystrym potokiem płynące w swych sercach myśli wylać na papier, i pozbyć się ciężaru, który ogromem brzemienia swego tłoczył im piersi; przecież pod względem narodowego uważani ducha, nie sprostali oni nawet karczemnemu skrzypkowi, który za natchnieniem serca i za słuchem delikatnego ucha idąc, lepiej umiał z sielskiej nóty wybrać narodową piosenkę, aniżeli oni z wątku gminnej pieśni nadobną tak ułożyć całość, żebyś na wystawionym obrazie rozpoznał łatwo i myśl i barwę przedmiotu, w narodowej wystawionej postaci. A jak tamten z wrzaskliwością prostych skrzypców tylko wtedy nielitościwie rażało ucho, kiedy wyżej sięgał, nad głos sielskiego pienia, tak i ci ranił serce słuchacza, gdy piskliwie jęczał i dźwięczał, polskie opiewali przedmioty, albo po prostu rzeczy wystawiając, nie uczyli narodu, jak ma pojmować narodowe swe życie. Nie umieli też ówczesni poeci, dożyć z siebie mogącego ich ożywić zapala, bo nie zdołali przejąć się przedmiotem, wchodząc w najdro-

bniejsze jego szczegóły, i z pojedynczych małych części wielką jego utworzyć całość. W małej, bo najmniejszej nawet przestrzeni, zamkniętej przedmiotu całość, przemówi do serca, jeżeli z osnowy rzeczy, te właśnie szczegóły zdoła poeta wywieść na jaw, które dają wmyśleć się w rzecz i ducha jej odgadnąć. Ubóstwo umysłowego usposobienia swego, chcąc pokryć poeci nasi, pstrzyli swe plody pożyczanymi u innych ozdobami, i, jak zubożały dłużnik wystawnością swoją zwykły swoich oszukiwać wierzący, tak i oni oszukali swój wiek, uczyniwszy to, że mu się podobały piękne owe, z obcej poezji pokradzione płatki, że ciekaw się z nimi, i na jednej kładł szali rymopisów naszych z największymi geniuszami, starożytnego i nowożytnego świata. Czas wykrył prawdę i przekonał o tem, że łatwość zostania u nas poetą, dała zgubny popęd całemu niemal narodowi, tak, iż układać wiersze, a być uczonym, jedno u nas znaczyło w długie czasy. (*) To zaszkodziło rozwijaniu się naszej gruntownej oświaty, lubo delikatne czucie narodu, przez to wykształciło się wielce. Też same cechy, co poezya, nosiły na sobie polska muzyka i taniec, nieodstępne poezji towarzyszyki, które wszakże prędzej się wydoskonaliły, niż tamta, bo łatwiej jest człowiekowi upiększyć i wydoskonalić powierzchność ciała, aniżeli serce swe i rozum ukształcić. Dla tego też taniec i muzyka polska, prędzej, niż poezya, stała się europejską; w nich naród nasz żyć będzie wiecznie, one przeciągną jego życie po za przeszłość, one zawsze umysłowość polską pięknie charakteryzować będą. Ziemię ruską, Małopolską i Mazowsze, były to główne krainy obszernego naszego królestwa, które najwydatniejsze miały cechy poezji narodowej, tudzież tańca i muzyki. Trzy nadobne te sztuki, łączyły się w jednej ojczyźnie polskiej: ogniem swoim nie tylko kraje przedjagiellońskie, ale i ziemie pojagiellońskiej Polski łącząc ściśle. Sielskie pienia, tudzież kozak i dumka; satyra, tudzież krakowiak i mazurek, charakteryzowały poezją, taniec i muzykę ziem ruskich, Małopolski i Mazowsza; a religijne pienia z tańcem polskim i właściwą muzyką, z pierwotnego swego siedliska, z Wielkopolski, po całym rozlawszy się królestwie, łączyły w jedno całą przestrzeń obszernej Lechii, pod względem sztuk nadobnych. Tkliwości i wdzięków nadobne te dzieci, Muz i Gracyów córki, (jak starożytni mawiali Grecy) pielegnował Polak od kolebki aż do

grobu, mianowicie też w 16tym wieku, dopóki w 17tym fanatyzm nie zakłócił naród i na chwilę nie przerwał tych przyjemnych zabaw.

Kiedy przyszło poetom naszym puścić się na pole świeckiej liryki, błakali się długo, różnie próbując, azali nie natrafia na przedmiot, któryby przypadłszy do smaku narodowi, oryginalnie rozwinął wieszczego ich ducha. Mimo puściwszy pieśni gminne, udali się do fraszek, i z wielką korzyścią zaprawiwszy tklive swe czucie na małych piosenkach, pookuśli się o wyższe pieśni i treny. Drugie najlepiej się im udały, i postawiły ich w rzędzie oryginalnych wieszczów. Dalsze w tym zawodzie usiłowania, zawiodły naszych poetów nadzieje. Godowe i pogrzebowe pienia, nie udały się im bynajmniej; lepiej poszły pieśni pochwalne, wszakże te pochodzą od wieszczów, którzy się i w religijnej poezji odznaczyli znakomicie. W całym przestworze liryczno-polskiej poezji okazuje się być oryginalną sama tylko elegia. Przedstawia ona najpiękniejszy widok, i sama tylko wraz z satyrą pojętą jest w prawdziwie sławiańskim duchu przez naszych poetów. Bo smutek z ironią, łączyć najwięcej przystało Sławianom, od obcych i od swoich nękanym wiecznie, a od losu prześladowanym niemal ustawicznie. Znaczenie i przeznaczenie sławiańsko-polskiej elegii, dobrze pojał i opisał Jan Daniecki, (w pieśniu weselnym Mikołajowi Korcyńskiemu i Barbarze Pukarzewskiej zanóconém) w tych słowach:

*I to, i wiele rzeczy którekolwiek były
Na świecie, wyście święte muzy oznajmiły:
Żałować pomagacie, gdy kogo przystojnie
I grób łzami dobrego oblewacie hojnie,
Także gdy się weselić dobrym pomagacie,
Zwłaszcza kogo chętnego ku sobie też znacie.*

Z wielkiego tłumu elegijnych naszych poetów, trzej głównie zasługują na uwagę: Jan Kochanowski, Sebastian Klonowicz i Kasper Miaskowski. Pierwszy okazał się w trenach oryginalnych i najwięcej w nich rozwinął poetyckiej samodzielności. Bo chociaż Jan Kochanowski umiał Horacego tak zpolszczyć, iż w zewnętrznej i wewnętrznej swojej uważany on postaci, zdaje nam się być Polakiem rodowitym; przecież pożyczone myśli od wenuzyjskiego wieszca, a rozlane po pieniach poety z Czarnolesia, wyjawiają snadnie, że je Rzymianin po polsku, a Polak po rzymsku wynurzył, nucąc niezgodnie z naszymi rycersko-męzkimi i moralno-staropolskimi zwyczajami. Na pierwsze każdy łatwo się zgodzi, na drugie, ażeby przystał, niechaj z pomiędzy wielu odczyta dwudziestą pierwszą pieśń księgi pierwszej, tudzież pieśń szóstą księgi drugiej. W Rzymie za czasów Augusta powszechnem było hasłem, że słodkie są więzy miłości i że dorosłej dziewczynie unikać mężczyzn nie przystoi; lecz w Polsce nie odzywano się w 16tym wieku z tem zda-

(*) Ważne są słowa Górnickiego w *Dworzaninie* str. 318. o Stanisławie Maciejowskim, kasztelanie sandomirskim. Mylnie powiedział ksiądz biskup Woroniec w *Rocznikach towarzystwa* II. str. 382.: „Ze panowanie Zygmunta III. za prawdziwy kres rozplenienia się naszych poetów naznaczyć można:“ od wieków bowiem było już u nas pełno wierszy i wierszokletów, poetów zawsze mieliśmy mało.

niem publicznie. Inaczej myślącym i czującym pokazuje się Jan Kochanowski w trenach swoich: bo też inne było jego położenie, kiedy do drzwi swęj Hanny kołatał, lub nalegającemu na siebie gospodarzowi, wypraszał się od kielicha, a insze, kiedy po próżnych spoglądając kątach, niewidział pieszczoszki swojej Urszuli, lub kiedy spozierając na pozostałe po niej sukienki, przypominał sobie stratę drogiej dzieciny. Dla tego też poeta z Czarnego lasu będąc w pieśniach potakiwaczem zniewieściałego Mecenasa, w trenach okazuje się być Polakiem, z polskiem prawdziwie sercem, srogie znoszący losy, niepoddający się żalowi zupełnie, ale ufający w Boga, i spokojnie oczekujący końca swych dolegliwości. Szkoda tylko, że jak w charakterze, tak również i w myślach poetycznych nie okazał się tu samodzielnym Jan Kochanowski. Bo i w trenach panują u niego obce myśli. Nawet w 18tym trenie, ze wszystkich najpiękniejszym, przemawia naśladowca psalmów Dawida.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O stanie nauk w akademii krakowskiej za Augusta III.

(Dokończenie.)

Ludzie sławni w wydziale medycznym.

Lubo w szkole głównej krakowskiej nie było kursu lekcyi publicznych w wydziale lekarskim; trzeba jednak przyznać, że Polska miała wiele sławnych doktorów, którzy i około swęj profesyi, i około nauk fizycznych wiele się zatrudniali. Im winni jesteśmy bardzo wiele postrzeżeń fizycznych, opisanie chorób w kraju naszym powszechniejszych.

Między krakowskimi doktorami, na pierwsze zasługuje wspomnienie doktor Fermika, dziekan kolegiaty, którego prace znajdują się po większej części in actis eruditorum instituti Bononiensis; oprócz czego pisał on dysertacye o niektórych chorobach. Był doktorem Zaluskiego, biskupa, szacowany od wszystkich dla swęj nauki i dobrych obyczajów.

Ksiądz Łopacki, kanonik krakowski i prałat kościoła farnego Panny Maryi w rynku, był człowiek, jakich bardzo rzadko daje Opatrzność na przykład i pociechę ludziom.

Abym nie miał potrzeby powtarzać jednęj materyi kilka razy, opiszę tu pokrótce zasługi Łopackiego:

Człowiek ten w akademii krakowskiej do nauk wyzwolonych i umiejętności przykładający się, otrzymawszy stopień doktora w wydziale filozoficznym, wysłany został do Włoch na fundacyą Słowikowskiego do Bononii, tam wziął się do nauki lekarskiej, i w nięj tak wielki zrobił postęp, że za swym powrotem wyszedł na najlepszego i najszcześniejszego praktyka.

Tym sposobem zyskał dla siebie powszechną wziętość, za tą, jak zwyczaj, poszły promocyę

w stanie duchownym, tak dalece, iż mógł wyjść na użytecznego dobroczyńcę miasta Krakowa, przez wiele chwalebnych fundusów i był żywicielem nędznej ludzkości przez hojne jałmużny. Tak bogaty prałat, nie potrzebował żadnej nagrody za swe rady i starania około chorych. Wyznaczył każdego dnia godziny, w których gromadzili się do niego ubodzy, odbierali rady i recepty z rąk jego, a w aptekach, do których się udali z receptami, ręką Łopackiego podpisanymi, dawano im darmo lekarstwa, które on na końcu każdego miesiąca opłacał; zaś chorych, którzy do jego domu przyjsć niemogli, a w parafii się jego znajdowali, sam odwiedzał, nie tylko zdrowie ratując, ale potrzeby, które mógł postrzedz, wspierając i opatrując.

Majątni ludzie, chcąc mieć od niego ratunek w swém zdrowiu, niemogli mu żadnych ofiarować nagród, boby onych nie przyjął.

Widząc atoli, jak był dla ubogich dobroczynnym, zostawiali w domu jego potajemnie znaczne pieniądze, bez żadnej kondycyi, bo wiedzieli, że tak dobroczynny człowiek użyje onych dobrze z pożytkiem ludzkości.

Jakoż zdaje się, iż dowcip jego tak był dobroczynnością zajęty, że całą swą pilność ku temu obracał. Zrobił fundacyą, z której dochód idzie na zakupienie lekarstw dla chorych, niemających sposobu opłacenia aptecznych regestrów. Szpital w swęj parafii dla starych mieszczan, zupełnie w murach i funduszach upadły, na nowo wymurował i dochodami opatrzył.

Dla dzieci, któreby lepiej umiały naukę wiary i miały świadectwo dobrej w szkole farnęj aplikacyi, oraz zalecenie, z jakiego czynu wdzięczności i miłosierdzia, premie ufundował, które się im publicznie w kościele Panny Maryi corocznie rozdają.

Dla neofitów jałmużny, a dla wychowania i ćwiczenia ich dzieci, fundusz postanowił.

Bractwo miłosierdzia, niegdy przez Skargę ufundowane i pod dozór kapituły krakowskiej oddane, a z czasem przez złą administracyą prawie upadłe, na nowo podniósł, urządził, nowymi dochodami zasilil i do dawnęj użyteczności powrócił.

Porządki ogniowe dla miasta Krakowa sprawil i zrobił fundusz, aby w ciągu zimy, kiedy są nocy długie, kiedy rzemieślnicy i ludzie ubodzy dodnia wstawać muszą, dla pracowania przy świetle, kiedy przededniem palą wszędzie po piecach, dla ogrzania izb, a zatem po domu ze światłem kręcić się potrzebują, dwaj zaraz strażnicy od czwartęj godziny po północy czuwali na wieży kościoła Panny Maryi, jeżeli się gdzie ogień nie okaże i przestrzegali straż ratuszną. Zeby zaś strażnicy sami nie zasnęli, obowiązał ich grąc sygnal na wieży, od 4tęj aż do 6tęj godziny.

Mimo te pełne ludzkości i obywatelstwa fundusze, bardzo wielełożył na ozdobę kościoła



Jaskinia Kuhstall w Saskiej Szwajcaryi.

Panny Maryi w Krakowie i kolegiaty w Sandomierzu, gdzie także był pierwszym prałatem.

Szkoda, że żył w tym wieku, w którym wielkie łożone koszty, nie wytepiały złego w architekturze i ozdobach gustu, ale owszem pomnażały. Nie zabrakło tam na marmurze, bronzie i srebrze, zabrakło na dobrej architekturze. Łopacki, kochany od świeckich i duchownych, od bogatych i ubogich, od magnatów i ludzi swego stanu, z którego pochodził, zostawił po sobie pamięć wszystkim miłą i słodką; wszyscy go wspominają jako wzór do naśladowania; ci, których zawasnienia i kłótnie pogodził, których zdrowie uratował, których nędzę osłodził, których łyż w smutku lub ucisku otarł, którym dał wychowanie lub sposób do życia, którzy z wielorakich jego korzystają dotąd fundacyj.

Wszyscy go wystawiają za wzór, jeden drugiemu go przypomina, podają sobie z ust do ust jego odpowiedzi, jego dobroczynności, jego rady. Ten uczony i dobroczynny człowiek, nie zostawił prawda po sobie żadnego wypracowanego w medycynie dzieła, ale zostawił wzór do naśladowania i dowód, jakby było rzeczą pożyteczną, gdyby duchowni przykładali się do nauk lekarskich, gdyby byli lekarzami ludu tak dobroczynnymi, jak był Łopacki. Między sławnych owego czasu w Krakowie doktorów, należy umieścić Arona, Żyda; byłto doktor akademii lejdejskiej, miał honor być uczniem sławnego Boerhawego, szczególnie praktyk i człek wzięty.

Łopacki nawet miewał z nim konsylia w czasie gwałtowniejszych potrzeb; Wadowski i Konuli byli to doktorowie wydziału w szkole głównej; nie żli praktycy, lecz nic o nich do powiedzenia nie zostaje.

Jaskinia Kuhstall w Saskiej Szwajcaryi.

„Z Lichentheim,“ mówi ulubiona autorka, „kazaliśmy się zanieść na wygodnych krzesłach na górę Kuhstall zwaną. Nie jest to zapewne miłe uczucie, dać się nieść w krześle, jak kaleka; lecz przewyżczywszy wstręt pierwszy, bardzo rzecz wygodna, bez tchu utraty wejść tak wysoko. — Droga na Kuhstall przyjemna; dochodząc do samego miejsca, ukazuje się wąska ciemna uliczka, a na jej końcu wiś, jakby wielka biała zasłona; przyszedłszy, spostrzega wędrownik, że to otwór na wylot ogromnej skalistej jaskini. To olbrzymie sklepienie, ta gotowa dla człowieka gospoda, którą sporządziła ręka wielkiego Budowniczego świata, może jeszcze w chwili potopu, mocne uczyniła na mnie wrażenie; przejęło mnie uczucie podobne temu, którego doznajemy, wchodząc do starożytnej świątyni; czułam bytność Boga w tém miejscu. Widoki z samej jaskini, z wierzchu jej czyli dachu, piękne, choć zupełnie dzikie. Sądzićby można, że skutkiem gniewu niebios ogromne miasto tu skamieniało; bo ten natłok sterczących różnego kształtu skał, domy, wieże, kominy przedstawia. — Do zupełnie miejsca tego uroku, równie jak w całej Saskiej Szwajcaryi, brak czystych strumieni, bystrych potoków, szumiących wodospadów; niedostatek wody i ptactwa, zbyt głuchemi czyni te miejsca, — jest to scena bez aktorów. — Ta jaskinia dla tego nosi nazwę Kuhstall, iż tu w czasie siedmioletniej wojny okoliczni włóścianie bydło swoje przed nieprzyjacielem skryli; tu także mieszkał niegdyś rozbójnik Wilde z zgrają totrów; i napadał bogatych baronów zamki.“